

*Bóg czeka, aby człowiek odzyskał
swe dzieciństwo w mądrości,*
Rabindranath Tagore

*Rozum albo skolonizował każdy inny dyskurs,
albo, w przypadku tych,
których irracjonalności nie mógł strawić,
przypisuje im rodzaj życia w cieniu jak to się dzieje
w przypadku zabobonów, mitów, poezji,
fikcji, pierwotności, dziecięctwa umysłu,*
Stephen A. Tyler

Kraina Trzech Młynów. Wspomnienia z dzieciństwa z antropologicznym komentarzem

Czy nostalgiczna podróż we własne dzieciństwo, do jego wypełniających wspomnienia miejsc, może być naukowo inspirująca? Czy zachowane z dzieciństwa obrazy, którym można się przyglądać „okiem” fenomenologa mogą być w jakiś sposób naukowo poznawcze? Jak może jawić się „rzeczywistość” wsi Łdzań i jej przysiółków, lasu i rzeki widzianej oczami dziecka, „zderzonej” z obrazem rzeczywistości współczesnej? Jakie nowe pytania mogą się narodzić, gdy przeszłość i teraźniejszość zostaną skonfrontowane i ujęte w akcie rozumienia?

Tak postawione pytania tworzą rodzaj kręgu. Można po nim „wędrować” wielokrotnie, przyglądając się zjawiskom dawnym i dzisiejszym z nowych punktów widzenia. Tworząc z odzyskanych w pamięci obrazów sieć znaczeń, w którą wpleść można treści uzyskane podczas oglądu fenomenów współczesności.

Antoni Kroch³ podjął próbę eksploracji własnych wspomnień „podróżując” po świecie dzieciństwa przepełnionego krajobrazem Bukowiny Tatrzańskiej i jej górskich okolic. „Podróż” przez własne wspomnienia stała się dla nadmienionego autora doskonałym pretekstem do tworzenia etnograficznego opisu podhalańskiej wizji świata. Wizji, która nie uniknęła antropologicznych analiz mitu góralszczyzny. Własna pamięć autora *Sklepu potrzeb kulturalnych* - dzieła należycie docenionego przez polskich antropologów - stała się znakomitą punktem wyjścia dla antropologicznych analiz współczesnego Podhala.

¹ R. Tagore, *Poezje wybrane*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1977, s. 93.

² S.A. Tyler, *Przed - się - wzięcie post - modernistyczne*, [w:] *Amerykańska antropologia post modernistyczna*, wybór i opracowanie M. Buchowski, Instytut Kultury, Warszawa 1999, s. 85.

³ A. Kroch, *Sklep potrzeb kulturalnych*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.

Antoni Kroch nie jest góralem z pochodzenia, ale jego *ceperskie* dzieciństwo wśród górali pomogło mu wrosnąć w ich kulturę i zrozumieć ją od „wewnątrz”. „Kroch żyje jak mawiali modni kiedyś strukturaliści *between and betwixt*: między dwoma światami, ale jakby w zawieszeniu między nimi. Jest góralem przyszywanym z serca i wiedzy, ale i nie do końca „ponem”, jako że zbyt wiele widzi i słyszy po góralsku. Z takiego szczególnego usytuowania czerpać można korzyści i łatwiej walczyć z mitologiami.”⁴

We współczesnym, antropologicznym dyskursie nie unika się eksploracji pamięci i wielu badaczy uważa, iż to właśnie pamięć odgrywać może niebagatelną rolę przy tworzeniu etnograficznych opisów.

„Obecność” pamięci widać na różnych etapach pracy antropologa, w różnych tekstach antropologicznych. „Traktuje się je właściwie jako swoiste narzędzie, które znajduje zastosowanie w procesie budowania wiedzy i to na każdym etapie, od pracy terenowej po publikowane wyniki antropologicznych badań.”⁵ Praca antropologa w terenie opiera się nie tylko na przesądach wspartych na procedurach badawczych, ale również na osobistych odczuciach, emocjach i doświadczeniu osoby prowadzącej badania. Wiedza, świadomość własnej tożsamości i pamięć o przeszłości, są nierozdzielalną częścią badanej rzeczywistości.⁶ „Można by powiedzieć więc, przyjmując tę perspektywę widzenia antropologii, w której doświadczenie i pamięć są ważne, że zadaniem antropologa jest zapamiętać jak najwięcej ze swojego doświadczenia i utrwalić to na piśmie, to znaczy zarazem, stworzyć pewien tekst o określonej formie narracji. Zadaniem antropologa jest także znaleźć informatora, to jest partnera do dialogu, który pamięta jak najwięcej ze swego doświadczenia i chce o tym opowiedzieć.”⁷ Praca terenowa jawi się więc jako kreacja badanej rzeczywistości, a tekst, w którym oddzielenie podmiotu od przedmiotu poznania jest niemożliwe, staje się nie tylko tekstem antropologicznym ale i autobiograficznym.⁸

Powstaje jednak istotny problem wówczas, gdy przekroczymy granice etnograficznej autokreacji (jaką powołuje antropolog tworząc teksty o obrazach społecznej rzeczywistości) i zwrócimy się tylko do jego pamięci, w której on sam dla siebie staje się informatorem, „niepewnym” partnerem dialogu, „stworzonym” li tylko z „wiązek” dziecięcych wspomnień. Jest to „rozmowa” z samym sobą i jednocześnie „tym drugim”, dialog, w którym stopiony horyzont jest wspólną tożsamością i zarazem jej niepokojącym niedostatkiem. Zapełnić ten brak, to podjąć „podróż” po „ekumenie” pamięci. Dzięki niej mogę siebie ująć w intencjonalnych aktach, niejako od „zewnątrz” sam dla siebie stając się „innym.” Jest to zarazem podróż do „wewnątrz”, do „krainy”, w której byłem... W której poprzez powtarzające się powroty mogę przebywać, by wciąż odkry-

⁴ W.J. Burszta, *Asterix w Disneylandzie*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2001, s. 197.

⁵ K. Kaniowska, *Opis. Klucz do rozumienia kultury*, Łódzkie Studia Etnograficzne, t. XXXIX, Łódź 1999, s. 56.

⁶ Tamże, s. 57.

⁷ Tamże, s. 57.

⁸ Tamże, s. 57.

wać „coś” i zarazem „stwarzać coś” nowego.⁹

Nasza własna przeszłość poprzedza nas, bowiem umożliwia rozumienie teraźniejszości. Ale przede wszystkim stanowi ona także tekst otwarty na nowe interpretacje. To „wejście” w przeszłość może być wpiętych poprzedzonych fenomenologicznym opisem, starającym się dotrzeć do wyglądów rzeczy, fenomenów wydobywanych z pamięci. „Chodzi o to, by opisywać, a nie wyjaśniać czy analizować.”¹⁰ Dopiero, gdy owym rzeczom się przyjrzymy możliwa staje się aplikacja wydobytych sensów i wpisanie ich w ramy tradycji czy w kontekst współczesności. Podjęty wysiłek interpretacji umożliwia aktualny sposób rozumienia. Tak ujawnione sensy możemy poddać antropologicznej analizie.¹¹

Warto wziąć pod uwagę postulat fenomenologicznego opisu, wymagający postawy naiwnej wobec opisywanych zjawisk. Tego rodzaju pis możemy stosować jako fazę wstępną, by pozwolić ujawnić się badanej rzeczywistości we wszelkich jej sensach. Faza druga obejmuje interpretację. A więc w przypadku wspomnień odnoszących się do przeszłości jestestwa – samorozumienie, które jest nieustającym procesem, a nie wytworem skończonym.

*

Obraz wsi Ldzań i jej najbliższych okolic sięga korzeniami mego wczesnego dzieciństwa. To, co z niego pamiętam jest sekwencją fenomenów, których nie potrafię ułożyć według chronologii wydarzeń. Tym niemniej, właśnie w tych obrazach odnaleźć mogę rzeczy stanowiące, według mnie, wartość dla fenomenologicznego oglądu. Zderza się on z moim własnym mitem dzieciństwa, wypełnionego przez czas wakacji spędzanych na działce rodziców. Jednoczący ruch pamięci ujawnia całokształt wspomnień jako swoistą jedność doświadczenia. Owej mitycznej jedności pozwalam się ujawnić, pozostawiając naukowe analizy na potem, choć tkwi w tym świadomość, iż nie będzie to ogląd dokonany przez transcendentale „ja”, ale próba rewizji przesądów, która kryje w sobie możliwość ujawnienia się nowych sensów. Tkwi w tym nieprzekraczalna konieczność bycia dla siebie samego nieprzejrzystością, stanowiącą warunek rozumienia siebie i innych.

Podróż w nieprzejrzystość dzieciństwa może się więc okazać konfrontacją z własnym mitem, który napęnia miejsca i wydarzenia fikcją. Pamięć dzie-

⁹ „Rzeczywistość, powracająca w pamięci, jawi się w powtarzaniu (i tym samym w opóźnianiu). Poprzez opóźnianie właściwe powtórzeniu to, co przedstawione, istnieje w y r a ż n i e j. Ale nie tylko: powtórzone, odsyła do tego, co było wcześniej, afirmuje więc obecność rzeczywistości (teraz już minionej)”. M. Zaleski, *Formy pamięci*, IBL, Warszawa 1996, s. 8.

¹⁰ M. Merleau-Ponty, *Czym jest fenomenologia*, [w:] J. Migasiński, *Merleau-Ponty*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1995, s. 102.

¹¹ Ludzkie jestestwo „zawsze jest tak, jak już było, i jest tym „czym” już było. Jawnie lub nie – jest swoją przeszłością. [...] Jego bycie znajduje swój sens w czasowości. [...] każdym swym sposobem bycia, a więc i wraz z właściwym sobie rozumieniem bycia, jestestwo wraża w pewną odziedziczoną wykładnię jestestwa i w niej wyrasta. Na jej to podstawie zrazu, a w pewnym zakresie stale, rozumie siebie. Rozumienie to otwiera jego możliwości bycia i nimi kieruje. Jego własna przeszłość – a to zawsze oznacza przeszłość jego „pokolenia” – nie postępuje za nim, lecz zawsze już je poprzedza”. M. Heidegger, *Bycie i czas*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1994, s. 28–29.

ciństwa jest przede wszystkim pamięcią miejsc. Tworzą one rodzaj geografii chętnie wykorzystywany przez literaturę. Bowiem w świecie pozbawionym jednoczącej wizji świata, dzieła literackie odnajdują mit właśnie w dzieciństwie. Miejsca widziane dziecięcymi oczami tworzą „magiczne” konstelacje i z pewnością czytelnik oddany lekturze *Weisera Dawidka* Pawła Huelle, czy *Doliny Issy* Czesława Miłosza, w dość intensywny sposób potrafi odczuć stworzoną przez pisarza metafizykę miejsc.

Pozostajmy przez chwilę w świecie literatury, by mit dzieciństwa i jego geograficznych punktów ujawnił swe „magiczne” znaczenia. Naiwność dziecięcego sposobu widzenia świata stała się inspiracją dla surrealistów. L. Aragon dostrzegł jego wartość dla poetyckiej wyobraźni:

Metafizyko miejsc, to ty piastujesz dzieci, to ty zaludniasz ich senne marzenia. Cała substancja naszego umysłu otacza te brzegi niewiadomego, te plaże dreszczu. Wystarczy mi zrobić krok w przeszłość, żeby odnaleźć zaraz to po-czucie niezwykłego, które ogarniało mnie, kiedy byłem jeszcze samym zadziwieniem, w scenerii, gdzie po raz pierwszy nawiedziła mnie świadomość niewytłumaczalnej spójni i przedłużeń jej w moim sercu.¹²

Pozwól Drogi Czytelniku, że poprowadzę Cię przez miejsca mojej własnej geografii dzieciństwa, by wyłonił się z niego obraz wsi, lasu i rzeki. I jeśli będzie w nim owa metafizyka, to odnaleźć w niej możesz wspólnotę doświadczeń, wyrastającą z dziecięcego zadziwienia światem.

**

Ewentualny podróżnik, chcący odwiedzić Ldzań i miejsca poniżej opisane, powinien dotrzeć do Dobronia. Wsi znajdującej się między Chechłem a Łaskiem - miejscowościami położonymi przy trasie Łódź Sieradz.

Droga z Dobronia prowadzi prosto na południe (skręt w lewo z szosy), by na moście, tuż za Ldzaniem zmienić swą fakturę asfaltu na piaszczystą nawierzchnię. Zaraz za mostem znajduje się stary młyn Talar i duże stawy. Naturalną granicą oddzielającą te miejsca od Ldzania jest rzeka, która wije się szeroką pradoliną (z południowego wschodu na północny zachód), ograniczoną pasmem morenowych, niewielkich wzgórz porośniętych lasem. Między wzgórzami, a korytem rzeki ciągną się rozległe torfowe łąki - pozostałość po wielkiej polodowcowej rzece, która musiała kiedyś tędy przepływać. Świadczą o tym nie tylko torfowiska ale i znajdująca się parę metrów pod ziemią wapienna opoka. To prawdziwy raj dla bocianów i amatorów konnych lub rowerowych przejażdżek, a także cierpliwych wędkarzy.

Ldzań to kilometrowa ulicówka, kończąca się przed rzeką rozstajem dróg. Gdy skęcimy w lewo, przed starym sklepem GS-u dotrzemy do Kolonii Ldzań i wsi Morgi. Przez pierwszy przysiółek i Morgi prowadzi asfaltowa droga. Ale wszelkie inne drogi, znajdujące w niej swój początek, są już tylko wąskimi piaszczystymi traktami. Gdyby zaś nasza nas chęć skrócić w piaszczystą drogę

¹² L. Aragon, *Wieśniak paryski*, PIW, Warszawa 1971, s. 17.

tuż za sklepem, i także w lewo wyruszyć w górę rzeki, dotarlibyśmy do wsi Zimne Wody, i jeszcze dalej na południowy wschód do rozrzuconej między łąkami i lasami wsi Drzewociny

W tej małej geografii można się naprawdę zgubić. Wszystkie nadmienione wsie położone są blisko rzeki i „dotykają” prawego brzegu pradoliny. Za rzeką znajduje się również kilka wsi, oddzielonych od siebie szerokim pasem lasów. Zaraz za mostem, w Ldzaniu, prosta droga prowadzi dalej na południe do wsi Rokiciny. Na północ od niej, przedzielona lasami porastającymi morenowe wzgórza, ciągnące się równolegle do rzeki znajduje się wieś Teodory, zaś na południe, oddzielona podobnymi walorami terenu usytuowana jest wieś Jamborek. Jadąc przez Jamborek dojedziemy do stawów w Karczmach i drugiego starego młyna.

Punkt graniczny krainy, którą zwiedzałem w czasie całodniowych włóczęg stanowił od południowego wschodu młyn przy Karczmach. Natomiast od północy był to drugi most na rzece, będący również zaporą tworzącą niewielkie rozlewisko Grabi. Przy starej odnodze rzeki, po lewej jej stronie, stoi tam jeszcze do dziś inny stary młyn, trzeci w kolejności i stanowiący pierwszy dom we wsi Barycz. Blisko stamtąd do znajdującej się przed Łaskiem, w kierunku północnym, Kolumny, starej letniskowej miejscowości pełnej pięknych drewnianych willi.

Gdybym miał nazwać krainę mego dzieciństwa, nazwałbym ją Krainą Trzech Młynów.

Letniskowy dom, który zbudowali moi rodzice jeszcze w latach 60-tych znajduje się na mierzącej 2000 metrów działce, położonej nad starym brzegiem rzecznej pradoliny. Obok znajduje się także kilka innych działek. 20 lat temu było ich zaledwie 6. Po prawej stronie drogi, w lesie, za którym usytuowana jest wieś Morgi, było tych działek kilkanaście. Dzisiaj jest ich kilkadziesiąt, a niewielkie fragmenty lasu i przyrzecznych łąk zostały ogrodzone i zagospodarowane. Tak straciłem wiele miejsc dziecięcych zabaw.

Ich inspiracją były wakacyjne filmy dla młodzieży i czytana wtedy literatura. Moimi towarzyszami zabaw byli chłopcy, synowie innych letniskujących rodzin. Tworzyliśmy rozkrzyczaną watahę, która co roku wypełniała las i łąki wojennym teatrem indiańskich i żołnierskich bitew. Czasem obozowaliśmy, paląc ogniska i planując „dalekie” wędrowki po okolicy. Towarzystwo było wybitnie męskie i tak się jakoś zdarzyło, że większość działkowych dzieciaków nie przynależała do płci niewieściej.

Przy wymyślaniu zabaw ogromną rolę odgrywały książki. Przez pierwsze trzy wakacyjne okresy podstawówki spędzałem letnie wieczory na słuchaniu radiowych baśni. Potem przychodził czas na lekturę. Leżąc w łóżku zagłębiałem się w przygody Tomka, przemierzając razem z nim Dzikie Zachód, Syberię i Czarny Łąd. Ale najpiękniejszymi książkami były te pełne śniegu i północnego wiatru. Uczucia prawdziwie przedziwne i rozkosz czytania budziły we mnie opowiadania Coorwoda „Szara wilczyca” i „Władca skalnej doliny”. Tehnąca z nich tęsknota, pragnienie wolności, wplatały się w losy Białego Kłosa. Jack London był wtedy dla mnie mistrzem opisu przyrody. Tak samo jak mistrza-mi literackiego opisu indiańskich bojów o wolność byli Sath Okh i Arkadiusz Fiedler.

Kiedy kończyły się baśnie i od łąk zaczynało ciągnąć wieczornym chłodem czekałem na pierwsze pohukiwanie pójdziek i ten dziwny „śmiejch” krążącego w elipsoidalnych wariacjach bączka. Potem zjawiały się nietoperze, które można było zwodzić podrzucając do góry kamyczki i szyszki, podziwiając zręczność łowców ciem i chrząszczy.

Nie mieliśmy prądu, więc kiedy niebo pełne już było gwiazd rozpoczynałem lekturę przy lampie naftowej. Potem, by nie drażnić rodziców używałem latarki. Najpiękniejszą książką jaką wtedy przeczytałem był jednak „Władca skalnej doliny”. Często wracałem do tej opowieści, bo zdumiewały mnie przygody ludzkich niedźwiedzi i zwierzęcych ludzi. A co się tyczy tych drugich, to zadziwiał mnie zwłaszcza wątek, który dotyczył zmagania człowieka z własnymi słabościami i surowymi prawami natury. Ona to pojawiała się jako prawdziwa nauczycielka „honorowego kodeksu” panującego wśród słabych i silnych. Dziś można w tym tropić wiele mitów. Ale wtedy bardzo wierzyłem w to, że zwierzęta posiadają duszę, że mały niedźwiadek Muskwa i wędrujący z nim wielki przyjaciel Gryzli są prawdziwymi bohaterami górskiej epopei.

Większość tych lektur przetwarzałem wraz z kolegami na scenariusze zabaw (wymienialiśmy się książkami). Nie pamiętam już ile odegraliśmy plemiennych zwyczajów i jak często byliśmy Siouxami lub Mohikanami. Las stawał się puszcza, łąka prerią a małe canoe z kory ściagały się po rzece. Robiliśmy łuki, strzały i włócznie. Budowaliśmy szałas, tratwy i rozpalaliśmy ogniska, piekąc kielbasy, które stawały się połciami bizoniego mięsa. Raz, w ramach eksperymentu upiekliśmy żabę. Udka smakowały jak ryba i chyba ten smak pomógł nam przezwyciężyć obrzydzenie.

Gdy nudziliśmy się Indianami, zamienialiśmy się w partyzantów (wpływ lektury znanej powszechnie w PRL-u serii wydawniczej „Tygrys”). Kilku chłopaków było synami milicjantów, więc mogliśmy być tylko dzielnymi AL-owcami, trzymającymi w rękach pepesze i szmeisery. Moi towarzysze święcie wierzyli w jedyną wykładnię swoich ojców. Kiedy podrosłem (czas politycznej odwilży w końcu lat 80-tych) i poznałem w harcerstwie AK-wskie legendy śmiałem się z faktu, że drewniane pistolety maszynowe „Sten”, które kiedyś „produkowałem” na działce i dawałem chłopakom „pochodziły” od Anglików, a nie, jak wcześniej sądziłem, od Rosjan.

Ulubioną „partyzancką” zabawą było urządzenie zasadzek na traktory wracające ze świeżym sianem. Zakładaliśmy więc miny z kapiszonów, rozkładaliśmy na ziemi wyimaginowane lonty ze sznurków i maskowaliśmy stanowisko drewnianego ckm u Maxim. „Niestety” rzadko kiedy jakiś traktor się „zatrzymywał”. Warkot silników doskonale zagłuszał jazgot naszych gardeł, udających nawałę karabinowego ognia. Ale i tak rozpierała nas „męska duma”.

Byliśmy więc Indianami, partyzantami a nawet samurajami, ścinającymi drewnianymi katanami łąkowe badyle. Konstruowaliśmy łuki, które niosły do 70 metrów, stwarzając zagrożenie dla zwierząt i naszych rodziców. Czasem uprawialiśmy „wymyślne” tortury, przywiązując do drzewa schwytanego przedstawiciela „plemienia” z odleglejszych działek.

Lubiłem też wtedy samotne włóczęgi. W dół i w górę rzeki. Były to za zwyczaj „polowania” na zające, sarny, bażanty i kuropatwy, polegające tylko

na skrytym podchodzeniu. Z przejęciem obserwowałem czające się na płycznach okonie i szczupaki. Rzeka rzadko w którym miejscu sięga 2 metrów głębokości, więc buszowałem po płycznach. Uwielbiałem nurkować i kłaść się na dnie grzebiąc rękoma w piasku.

Któregoś lata lało przez dwa tygodnie. Dużo czytałem, a kiedy skończyłem czytać, bo wreszcie wyszło słońce, brodziłem po zalanych łąkach. Woda poczyniła wtedy olbrzymie szkody. Pastwiska i łągi zmieniły się w miękkie dno pełne zielonych kobierców i stały się ciepłymi zatokami pełnymi „morskiej trawy”. Bawiłem się więc w delfina, bo właśnie wtedy, w telewizji puszczano animowany francuski film o tych inteligentnych zwierzakach.

Samotne wyprawy były też wyprawami do wsi. Po mleko (z wyroku rodziców) lub jajka. To był jednak inny świat. Ci ludzie mówili „trochę” inaczej, ich dzieci „inaczej” się bawiły. Były bardziej pulchne, bardziej żywiołowe od moich kolegów i bardziej impulsywne. Nie spotykałem ich zbyt często, bo w okresie wakacji pracowały wraz z rodzicami w polu. A jeśli spotykałem, to wiejskich chłopaków łowiących ryby i kąpiących się przy ujściu strumienia. Szanowałem ich, bo wiedzieli gdzie założyć sznur na miętusa i gdzie czai się duży szczupak. Podziwiałem za to, że znali miejsca pełne płoci i okoni. Ale nie pociągało mnie nadmuchiwanie żab, bo nie miało to nic wspólnego z honorowymi zwyczajami Siouxów.

Na Morgach było jeszcze kilka drewnianych chałup, zbudowanych z modrzewiowego drewna i szalowanych. Chodziłem tam do Dziubowej, która w starym piecu trzymała krowie sery ulepione w walec i posiadające od ognia ciemną skórę. Nie poznałem sekretu tego wyrobu, ale wiem, że działkowicze go uwielbiali. Jej mąż, zwany powszechnie „Dziubą”, zapalony wędkarz - który przeszedł szlak z Andersem i dostał Krzyż Walecznych - opowiadał różne historie. Jakoś nie pasował do niego wizerunek chłopca.

„Dziuba” snuł legendy. I to on opowiadał mi o zwierzętach. O wodnych szczurach i lisach. Kiedyś opowiedział mi bujdę o tym, że zimorodki budują gniazda na dnie rzeki i dlatego co jakiś czas nurkują. A żywią się oczywiście rybkami, bo rzeka to ich prawdziwe środowisko życia. W nocy śpią pod wodą razem ze swoimi piskletami. Przez cały tydzień buszowałem w rzece, żeby to sprawdzić. Moje wątpliwości rozwiali rodzice.

Mimo spotkań i znajomości z miejscowymi chłopami, wieś i tak wydawała mi się obca, a zamieszkujący ją ludzie całkiem inni niż reszta okolicy (działkowicze). Inaczej się ubierali, inaczej mówili i żyli też inaczej. Z powodu moich notorycznych włóczęg nazwali mnie Jasiem Wędrownikiem.

I wsiowi i miastowi spotykali się w sklepie, w Łdzaniu. Łączyła ich wspólna troska o to, czy chleb dojedzie na czas. I ja wyruszałem na małym rowerku, by zdobyć bochen chrupiącego wiejskiego chleba z dobrońskiej piekarni. Oczekiwanie na dostawcy samochód tworzyło między miejscowymi i miastowymi pewien rodzaj chwilowej wspólnoty. Podekscytowane okrzyki „jadą, jadą!” z pewnością miały wpływ na walory smakowe pieczywa. Zanim dowiozłem do domu ciepły bochenek, zniknęła najbardziej przypieczona przylepka. Po powrocie dużą pajdę smarowało się masłem i kładło na nią plastry słodkich wyhodowanych przez ojca pomidorów. A to już była rozkosz. Dziś dobroński chleb smakuje równie wspaniale.

Działkowców i wsiowych łączyło nie tylko pieczywo, ale również pewien rodzaj zbiorowego afektu do tego daru natury jakim są grzyby. Gdy tylko się pokazały, po pierwszych letnich deszczach, wielu działkowiczów zaczynało skrupulatnie przeglądać swoje zagrodzone kawałki lasu i zagajniki. Buszujących działkowiczów i miejscowych chłopów można było spotkać w nie zagrodzonych miejscach. I była to swego rodzaju rywalizacja o grzybowe terytoria. I ja miałem takie miejsca, zwiedzane zazwyczaj rankiem. Przynosiłem do domu wszystkie jadalne grzyby. Nawet te najmniejsze, bo pamiętałem wyznawaną powszechnie wśród miejscowych i działkowiczów zasadę, że gdy spojrzysz się na grzyba, to przestaje on rość. Grzybów nie szukałem także po burzy, wierząc również powszechnemu wyobrażeniu, że nie rosną one przy błyskawicach i grzmotach. Jako dziecku wydawało mi się, że grzyby to gatunek istot obdarzonych jakimś rodzajem świadomego życia. Skoro nie wolno było na nie patrzeć przed wyrwaniem ogonków z ziemi.

Niektóre sposoby „polowań” na grzyby wykraczały poza społecznie akceptowane zachowania. Punktem honoru działkowych chłopaków było wykradanie grzybów z ogrodzonych działek. I jeśli właściciel przebywał w domku, a nie kręcił się w pobliżu, skok za siatkę, by wyrwać krawca, czy prawdziwka oznaczał prawdziwy wyczyn. Kradzione lepiej smakuje.

Do tej pory moja rodzina cierpi na obsesję grzybobrania (oczywiście nie wiąże się to z opisanymi powyżej „wyczynami”), a jej przyczyna drzemie zapewne głęboko w naszej podświadomości. Przyjrzyć się temu trochę później.

Były także inne grzybobrania. Całodniowe wyprawy za rzekę. Znana sieć miejsc i punktów orientacyjnych chroniła moich bliskich przed ewentualnym zagubieniem pośród zagajników i wysokiego lasu. Ale i tak zdarzyło się kilka razy, że wychodziliśmy nie w tym miejscu, co trzeba. Przechodzenie przez powalone drzewo, ponad rzeką i pogrążanie się w mataczniku zawsze wywoływało dreszczyk emocji. Owe wyprawy obudziły we mnie głęboką miłość do lasu – poznaję go dziś nieco inaczej. Buszuję w ostępach z lornetką, aparatem fotograficznym i przewodnikiem do oznaczania gatunków roślin i zwierząt.

Z tych dziecięcych lat wart opisania jest jeszcze jeden fenomen. Działki w tamtych czasach spełniały ważną funkcję dostarczycielek witamin i zwierzęcego białka. Wielu działkowiczów uprawiało ogródki warzywne, sadziło zagony truskawek, hodowało owocowe drzewa, króliki i kury. W czasach PRL-u był to sposób na wcale pokaźne oszczędności. Jeśli powierzchnia działki była dosyć spora, warzyw starczało na całą jesień, a może nawet i na pierwsze zimowe miesiące. W ogrodzie moich rodziców rosły w zagonach ziemniaki, buraki i seler. Mieliśmy marchew, pietruszkę, kapustę, fasolę i cebulę, rósł szczypior i czosnek, czerwieniły się tuż nad ziemią rzodkiewki. Dynia sąsiadowała z cukinią, kabaczkciem i sałatą. A w zbudowanej przez ojca małej szklarni rosły, i do dzisiaj są hodowane, pomidory i ogórki. Z owoców hodowaliśmy truskawki, poziomki, śliwki, jabłka i grusze. Wszystko to rosło w uporządkowanych zagonach, otaczając dom ze wszystkich stron. Mieliśmy też krzewy czarnej i czerwonej porzeczki. Rosną do dzisiaj krzaczki dzikiej róży. Sporo tych smakowitych roślin nadal od wiosny do jesieni porasta grządki. Mój ojciec, emeryt na stałe mieszkający na działce, hoduje nadal kury i króliki. W latach 90-tych na

naszej łączce pasła się koza. Choć pamiętam, że gdy byłem kilkuletnim chłopcem, mieliśmy także przez parę letnich okresów kilka owiec i świnię. Od oseska nie znosiłem mleka, ale cała ta zielenina sprawiła, że rzadko bywam u dentysty.

„Gościli” też na działce „dzikie” zwierzęta. Pewnego dnia zjawiała się Kasia. Żbikowata kotka, która upodobała sobie naszą działkę na wiele lat. Pamiętam, że pierwszy raz jej przyjacielskie miauknięcie zabrzmiało, gdy byłem w 4 klasie podstawówki. Zdechła, gdy kończyłem liceum. Bawiły się z nią moje kilkuletnie siostrzenice. Nie miała już wtedy dolnych kłów, ale chodziła jak pies przy nodze. Przynosiła myszy pod drzwi, tępiła szczury. Raz zdarzyło się, że przytaszczyła wyciągniętego z sideł zająca, innym razem rudą wieiórkę. Co roku wychowywała kolejny miot kociąt, które brykały po podwórku dostarczając pełnej śmiechu rozrywki.

Oswoiiliśmy parę szczygłów, która przez kilka lat gniazdowała w słupku ogrodzenia. Kiedy dzisiaj to sobie przypominam, zadziwia mnie fakt, że ten dziki ptaszek nie bał się podchodzić pod same stopy, by dziobnąć rzuconą okruszynę.

Przez jeden sezon miałem także małego zajączka. Sypiał ze mną i był prawdziwą, żywą maskotką. Znaleźliśmy go z babcią, któregoś majowego popołudnia, w trawie na łące. Miałem wtedy 4 lata i od wczesnej wiosny do późnej jesieni mieszkalem z babcią na działce. Rodzice wpadali w weekendy i „wyżywali” się w ogrodzie. Pod koniec sierpnia wyrosnięty zajączek gdzieś zniknął. Powiedziano mi, że poszedł w świat. Przypuszczam, że dokonano na nim aktu „kanibalizmu”.

Na jeden wakacyjny miesiąc (byłem wtedy w podstawówce), w naszej polowej kuchni zamieszkał się tchórz. Często pokazywał swój miły pyszczek w szparze tylnej ściany. Jadał ser prosto z ręki. Nie zdzierżyła tego Kasia. I którejś nocy obudziła nas prawdziwa kakofonia wrzasków. Następnego dnia tchórz się ulotnił, a Kasia chodziła dumna i prężyła swoje gibkie kocie ciało.

Do tych miłych wspomnień dołączyć mogę jeszcze jedno. Najbardziej intensywne. Niezwykle chwile spędzało się przy ognisku, które rozpalaliśmy we wszystkie pogodne wieczory. Gaston Bachelard tak między innymi pisze o wartościowaniu ognia: „[...] Sprawia przyjemność dziecku siedzącemu koło niego, ale karze wszelkie nieposłuszeństwo, kiedy chce się igrać zbyt blisko z jego płomieniami. Oznacza dobrobyt i szacunek: Jest bogiem opiekuńczym i straszliwym, dobrym i złym. Może sobie zaprzeczać jest więc jedną z zasad uniwersalnego wyjaśniania [...]”¹³

Bywało, że przy żarzącym się ognisku gapilem się w rozgwieżdżone niebo aż do północy. Jeśli odnajduję jakiś rodzaj spójni, objawiającej magię dzieciństwa, być może w pełnej patosu metaforze, to jest to ciąg obrazów zbiegających się w rój gwiazd. Dzieciństwo to rozgwieżdżone niebo. Ono jest koroną stworzenia, tajemniczej dla dziecka natury i wypełniających ją ludzkich rzeczy. Jak powiada Mieczysław Jastrun;

¹³ G. Bachelard, *Wyobraźnia poetycka*, PIW, Warszawa 1975, s. 29.

Dzieciństwo jest jeszcze tym okresem, w którym świat materii poznawany dopiero i sprawdzany ustawicznie nie budzi podejrzeń. Jeszcze wtedy każda rzecz świetniejsza cała, pełna w swym trójwymiarze i nie odczuwamy tego oddzielenia, które w późniejszych latach zmienia nasz stosunek do otaczającej nas natury.¹⁴

Rozgwieżdżone i niepojęte niebo ogarnia transcendencję, zanim jeszcze zostaną mu przypisane wartości religijne. Albowiem „[...] niebo 'symbolizuje' transcendencję, moc, niezmiennność po prostu dlatego, że istnieje. Niebo istnieje dlatego, że jest wyniosłe, nieskończone, niezmiennie, potężne”.¹⁵

Współcześnie jak nie trudno się domyślić - okoliczne wsie, las i łąki wyglądają inaczej. Moja Kraina Trzech Młynów jakby się skurczyła. Nie przemierzam jej krokiem dziecka. W znajomym krajobrazie czas i przestrzeń uległy skróceniu, a wszystkie percepcje docierają szybciej, tak jakby spojrzenie przyzwyczajone do wyglądu rzeczy poddało się oswojeniu, zakrzepnięciu, zaciemniającemu zdolność dotarcia do „rajskich” chwil dzieciństwa. Klęska wszelkiego zadziwienia jednoczy się z powszedniością. Istotę tego doświadczenia doskonale pojął M. Jastrun:

Krajobrazy, wśród których spędzaliśmy dzieciństwo lub młodość, nie mogą być przyrównane do żadnych innych; miejsca, gdzie przeżyliśmy pierwszą miłość czy jakąś inną ogarniającą całość naszej istoty sprawę, mają dla nas urok tego rodzaju, że pospolite przedmioty nabierają dla nas i tylko dla nas znaczenia, które nie może być w pełni zrozumiałe dla kogoś innego. To, co dokonuje się na tych miejscach, jest obdarzaniem otoczenia, więcej: jest przemienianiem go siłą naszego uczucia na znaki rozpoznawcze, kształty, wyrażające naszą niewidzialną i spopielałą już miłość. Jakby znalazła ona trwalsze granice w tych widomych krajobrazach i formach niż w naszym wewnętrznym doświadczeniu, przynajmniej tym jednorazowym, które zgasło. Drzewa, na których spoczywało nasze spojrzenie, nie mogą stać się już nigdy dla nas zwykłymi drzewami, domy, w które kiedyś wchodziliśmy, wciąż jeszcze mają dla nas drzwi otwarte, mimo, że już mieszkają w nich obcy ludzie. Oni również, mimo, że są tylko potomkami tamtych, wydają się nam bliżsi niż wszyscy inni. A wystarczy pobyc nieco dłużej w tych miejscach, by powoli rozwiewało się nasze oczarowanie przeszłością. Wszystko wraca do swego naturalnego stanu i choćby usiłowało jeszcze raz po raz przypominać nam o czasie tu przeżytym, zaczyna oddalać się od nas; coraz boleśniej zdajemy sobie sprawę, że padliśmy ofiarą złudzenia. Wszystkie te krajobrazy przesypane są popiołem naszych późniejszych doświadczeń, formy są wydrażone, drzwi wszystkich domów rzeczywiście zamknięte. [...] Poruszamy się jedynie wśród cieni i widm przeszłości.¹⁶

A przeciw owe widma i cienie stanowią jednocześnie istotny fragment naszego doświadczenia. Co więcej, są nieodłącznym elementem „geografii” świadomości.

¹⁴ M. Jastrun, *Mit śródziemnomorski*, PIW, Łódź 1962, s. 18.

¹⁵ M. Eliade, *Traktat z historii religii*, Wydawnictwo OPUS, Łódź 1993, s. 44.

¹⁶ M. Jastrun, dz. cyt., s. 166 - 167.

A przecież owe widma i cienie stanowią jednocześnie istotny fragment naszego doświadczenia. Co więcej, są nieodłącznym elementem „geografii” świadomości.

Dziś Ldzań i Morgi nie są już tylko wsiami rolniczymi. Wiele gospodarstw wykupiło letnicy. Domy letniskowe, które dawniej stawiano na wykupionych polach i łąkach wcisnęły się między wiejskie domostwa. Działki przestały być miejscami, gdzie przede wszystkim hodowano przeznaczone do konsumpcji warzywa. Ludzki wysiłek tworzenia miejsc nadających się do zamieszkiwania skupił się teraz na funkcji estetycznej. Pojawiły się skalniczki, małe oczka, ogródki kwiatowe i rośliny ozdobne, kłócące się z otoczeniem wypełnionym przez inną florę. Tę estetykę można już było również wcześniej obserwować. Ale nie pełniła ona wtedy pierwszoplanowej roli.¹⁷

Zarówno w Ldzaniu jak i w Morgach pojawiły się bary. Kilku rolników otworzyło sklepy. W Ldzaniu pojawiły się dwa. Na Morgach jeden. Bar w Ldzaniu chętnie odwiedzają motocykliści. Wiele działkowiczów spędza tam wieczory racząc się piwem i innymi napojami.

Istotne zmiany zaszły też w gospodarstwach. Zainwestowano w prywatne ubojnie. W kilku wybudowanych domach rozpoczęto działalność gospodarczą (małe zakłady krawieckie i szwalnie). Wiele gospodarzy stworzyło małe firmy budowlane zajmujące się wykończeniami domów i kopaniem studni. Spora grupa okolicznych mieszkańców dojeżdża do pracy w Pabianicach, korzystając z gimbusa, zaś studiowanie w szkołach wyższych stało się dla wiejskiej młodzieży czymś powszechnym. Znam dwie obrotne dziewczyny, które dorabiają sobie piekąc ciasta dla działkowiczów. Zbierają w ten sposób środki finansowe na swoje uczelnie. W Ldzaniu pojawiła się stadnina koni. Kilka innych gospodarstw przystosowano do „hotelowania” tych zwierząt. Zresztą okoliczne lasy, łąki i wsie to świetne tereny dla tego typu rekreacji. Można pokusić się o stwierdzenie, iż dawna działalność rolniczą wypiera powoli działalność usługowa. Służyć ma ona przede wszystkim mieszkańcom miasta. Ldzań i okoliczne wsie powoli stają się „peryferiami” przede wszystkim Pabianic i Łodzi, spełniającymi funkcję letniskową, oferującymi „małą namiastkę podmiejskiego raju”.

Jednym ze zjawisk, wartym odnotowania jest wzrastająca ilość stawów hodowlanych. Większość z nich znajduje się w obrębie rzecznej pradoliny. Mój ojciec również zaplanował i przeprowadził taką inwestycję. Hoduje karpie, amury i płocie. Powstające stawy i oczka wodne urozmaicają rzeczną dolinę. Bogaty w wodę ekosystem otrzymał status parku krajobrazowego.

Taka ilość zbiorników wodnych jest prawdopodobnie przyczyną zasiedlania tych terenów przez czapłę siwą. Pojawił się również bocian czarny i kilka par żurawi. Zresztą ilość ptasich gatunków, bytujących na tych terenach stale i przelotem jest doprawdy zaskakująca. Dorzecze Grabi, obfitujące w strumienie to dobre miejsce dla ornitologów amatorów.

¹⁷ Ten fenomen wymaga wnikliwszych badań i opisu, który można by zamieścić w osobnym artykule.

Nie bez przyczyny poruszam ten wątek. Okoliczne lasy, pola i łąki to miejsca moich aktualnych przyrodniczych fascynacji. I kryje się w tym konkluzja, iż kraina mego dzieciństwa to nadal miejsce cenne dla różnego rodzaju eksploracji. Odkrywam je nie tylko ze względu na hobby. To także podróż poprzez pamięć, dzięki której rekonstruowana przeszłość zawsze mnie niejako wyprzedza i staje się kłębkim pytań dotyczących teraźniejszości i najbliższej przyszłości. We własnym dzieciństwie zaczynam odkrywać coraz bardziej „rozplenający” się melanz metaforycznych obrazów, tworzących ekumenę dziecięcego mitu. Las, łąki, rzeka i okoliczne wsie, pełne kiedyś dziecięcej obecności, domagają się „wypowiedzenia”, są żywym źródłem wielu potencjalnych narracji. Oto kraina, w której na glebie „umarłego” rodzi się nowe.

Jedną z takich narracji chciałbym kontynuować, aby podjąć próbę uporządkowania znaczeń i wyłaniającego się z nich sensu. Z potoku dziecięcych i współczesnych obrazów warto wydobyć trzy zjawiska i określić ich istotę. Te interpretacyjne zabiegi chciałbym raczej traktować w formie przyczynków. Chodzi tutaj o: sens wakacyjnego przebywania na działkach; fenomen grzybobrania; fenomen powrotu do dzieciństwa, poprzez pamięć, strumień wspomnień.

Wakacyjne przebywanie na działkach jest przebywaniem okresowym, w przestrzeni wytworzonej z „komponentów” natury i techniki. W tych małych terytoriach natura, ożywająca wiosną i rozkwitająca latem, jest poddawana kulturowemu porządkowi. Nieregularne kształty, spotykane w przyrodzie zmieniają się na ciąg linii równoległych, prostopadłych i sfery figur geometrycznych. W ogrodach, warzywnym i kwiatowym rośliny sadzone są w zagonach, tworzą koła, kwadraty a pojawiająca się nieregularność może być postrzegana jako szpecąca. Nawet drzewka iglaste sadzone są w rządkach. To przetwarzanie Natury na ludzką modłę nosi trwałe rysy porządku Kultury otoczonego zabezpieczającym kordonem siatek i płotów. Tuż za nimi może rosnąć las, lub rozpościerać się łąka. Miejsca te należą jednak do innej „dziejziny”.

Istotne są tu realia, które wytworzyły mitologię działek (daczowisk - taki termin stosuje R. Sulima):

„Daczowisko jest sztuczną instalacją wyobrażeń o Naturze w środowisku naturalnym. Natura sztuczna bardziej pociąga niż natura surowa. Wolimy 'sztuczne raje' jako wytwory ery biotechnicznej niż przetworzone środowisko naturalne. Jak powiadają filozofowie: istota rzeczy ujawnia się lepiej w sztucznym ograniczeniu niż w naturalnej swobodzie. Na daczowiskach technologie produkują naturę. Za ich pomocą dokonuje się analizy fenomenów natury: skraca się do nich dystans, nadaje status incydentalności, uprawia kult szczegółu; mikroskale odtwarza się w makroskali. O naturze „przedtechnologicznej” przypominają tu tylko anomalie Natury (gwałtowne burze lub wichury).”¹⁸

Tymi szczegółami mogą być wspominane wcześniej oczka wodne, po których płyną plastikowe „dzikie kaczki”, skalniczki obsiane rokitnikiem i

¹⁸ R. Sulima, *Antropologia codzienności*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2000, s. 120.

kwiatami oraz miejsca obsadzone drzewkami takimi jak miłorząb japoński, nie pasującymi do otaczającego krajobrazu.

Działka jawi się więc jako rodzaj sztucznej rzeczywistości, której projekt przetwarza ideę Natury. „Sztuczny raj” oferuje nie tylko ludyczne wartości, związane z wakacyjną ideą spędzania wolnego czasu. W takich „okolicznościach przyrody” działkowicze niejako zbliżają się do „ziemi”, ale jest to „ziemia” pozbawiona wszelkich znamion dzikości, właściwej dla porządku Natury.

Tę dzikość „dopuszczyć można do głosu” podczas grzybobrania. Sfera lasu ukazuje znaczenia, które przyporządkować możemy Naturze. Tkwi jednak w takiej interpretacji pewne niebezpieczeństwo. Las, mimo że jest „zbiorem” nieregularnych kształtów, miejscem przebywania zwierząt, których oswoić nie można, nosi tym niemniej ślady ludzkiej działalności. Istnieje istotna różnica między lasem sadzonym przez człowieka a lasem naturalnym. W prześwitach korytarzy, tworzonych przez sadzone w zagonach iglaste drzewa, można czuć się bardziej swojsko. W lesie, rosnącym „spontanicznie” łatwiej się zgubić. Brakuje w nim tych regularnych, wprowadzonych przez człowieka linii. Współczesne podmiejskie lasy nie noszące miana rezerwatu, są najczęściej „mieszaniną” lasu sadzonego przez człowieka i lasu naturalnego. Znajdujące się w nim „dzikie” wysypiska śmieci mogą świadczyć o tym (warto to zjawisko zbadać), że sfera lasu nadal postrzegana jest jako ekumena niebezpieczna, sfera śmierci i chaosu. Rzecz, która traci swoją poręczność wyrzucana jest poza obręb uporządkowanego przez kulturę ludzkiego świata. Być może mamy tutaj do czynienia z działaniem podświadomym, z którym nie może uporać się ekologiczna edukacja.

Grzyby przynależące do leśnej ekumeny, w kulturze tradycyjnej postrzegane były jako „mieszkańcy” innego świata.

Opowieści mówiące o pochodzeniu grzybów wyjaśniają ich mediacyjny charakter, ale także przypisanie ich do sfery demonicznej: szansa na znalezienie się w zaświatach, których symbolicznym odpowiednikiem jest np. las, wiąże się wszak z ryzykiem destrukcji, nieczystości. Nie tylko miejsca w jakich rosną grzyby, ale także ich rozwój utożsamiają je ze sferą śmierci. Do swego wzrostu grzyb wymaga wilgoci, a jego zapach często kojarzy się z gniciem, rozpadem, a więc tym, co wiąże się ze sferą nocy (jeszcze współcześnie panuje powszechne mniemanie, że grzyby rosną tylko nocą) księżycem i biologicznością, destrukcją i rodzeniem, tzn. kobiecością, i ogólniej, wszelkim pierwiastkiem żeńskim we wszechświecie.¹⁹

Grzyby, to niezwykle dobra ukradzione mieszkańcom innego świata, i tych właśnie mieszkańców, według E. Zadrożyńskiej, częstowano darami lasu podczas wigilijnej wieczerzy.²⁰ Powiązanie grzybów z zaświatowymi ciemnościami i księżycem łączyło się z opiniami na temat warunków i okoliczności zbie-

¹⁹ P. Kowalski, *Leksykon Znaki Świata. Omen, przesąd, znaczenie*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa - Wrocław 1998, s. 156.

²⁰ E. Zadrożyńska, *Powtarzać czas początku*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1985, s. 60.

rania grzybów. Grzyby najlepiej zbierać podczas „przybierania księżycy lub pełni”. Grzybiarz, wyruszający na grzybobranie nie powinien się myć. Brud i śmieci jako znaki przestrzeni zaświatowej, reprezentują porządek innego świata. Oznaczają też rzeczy znajdujące się nie na swoim miejscu, wprowadzające chaos i nieokreśloność.²¹ Te znaczenia są dobrym punktem wyjścia do interpretacji „dzikich” wysypisk.

„Grzyby należy zbierać tylko o świcie: graniczny charakter tej pory dnia jest właściwy dla poszukiwań tego, co posiada mediacyjny charakter, i samo z istoty rzeczy do takich zjawisk przynależy. Ponieważ zobaczenie grzyba natychmiast wstrzymuje jego wzrost, grzybiarz powinien go zaraz wyrwać. Spojrzenie bowiem wydobywa z chaosu otoczenia i nadaje mu definicję, wyodrębnia, co w pewnym sensie przerywa jego związek z nieokreślonością, pozbawioną właściwości sfery lasu i osobliwością czasu przełomu nocy i dnia. Zobaczyć, to prawie tyle samo, co nazwać.”²²

Wielkie wyprawy na grzyby, podejmowane przez moją rodzinę, zaczynały się zawsze o świcie. Zobaczenie jadalnego grzyba nieodłącznie wiązało się z jego zerwaniem. Postępowanie zgodnie z tymi wyobrażeniami łączyło się z jakimś nie do końca sformułowanym poczuciem ekscytacji. To „podniecenie”, noszące znamiona swoistej obsesji, ma zapewne swe podświadome źródło, którego nie da się zgłębić nie sięgnąwszy uprzednio do mitologii. Wszystkie te wyprawy miały w sobie coś z owej mitycznej, w „zaświaty”, i dzisiaj dostrzegam w nich znamiona rytuału.

K. Grzywnowicz w ciekawym studium *Grzyby i ludzie* przeanalizował wiele mitów, podań i ikonograficznych przedstawień dotyczących grzybów. Autor analizował paleolityczne rysunki naskalne, wierzenia na temat indyjskiej somy (wyciąg z halucynogennego muchomora *amanita muscaria*), odnajdował analogie w hebrajskiej mannie (manna = grzyb, hebr.). Wszystkie te zabiegi posłużyły autorowi do skonstruowania hipotezy, iż początek ludzkiej kultury wiązać się może „grzybomanią”. Nie zamierzam dekonstruować tu rozważań autora i badać, czy on sam nie popadł w swego rodzaju „grzybomanię”. Zacytuję fragment tej pracy, z którym mogę się zgodzić, choć kusić może potrzeba złośliwej uwagi pod adresem takich zestawień:

Japończycy mają także swój rytuał zbierania grzybów. Specjalny ubiór zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet (zielone spodnie *patchi* i specjalne białe lub (!) purpurowe kimono), a następnie radosny piknik po grzybobraniu. Z całą pewnością za rytualne można uznać też grzybobranie opisane w *Panu Tadeuszu* przez naszego Wieszcza, zwłaszcza jeżeli uwzględnimy atmosferę. Ze starych polskich, ludowych rytuałów warto wspomnieć o wysyłaniu na grzyby dzieci, „bo *ono zle* z lasu nie ma na nie wpływu” [...] i powiedzenie, że „kto w zapusty po północy zje kapusty, temu będą się grzyby darzyły”. Chyba nie tak bardzo odeszliśmy, także współcześnie, od czynności rytualnych. Specjalne przygotowania, specjalny ubiór, a potem radosne podsumowanie zbioru.²³

²² Tamże, s. 157-158.

Czy *ono złe* nie miało na mnie wpływu, czy też mogło gdzieś w pobliżu krażyć, wszelkie włóczęgi do lasu, nad rzekę i po łąkach nosiły w sobie piętno czaru. Tajemnicę, którą warto zgłębić. Wystarczał fakt, że bezpieczna przestrzeń działki stanowiła obszar nudnego schematu. Natomiast naturalny krajobraz pochłaniał bez reszty. Także on był wchłaniany, tworząc „magiczną” tkaninę wspomnień. Gdy dzisiaj usiłuję przyjrzeć się jej misternym splotom, poszukuję ukrytych wzorów i nieoczekiwanych zapętleń nici. Wierząc, że gdzieś, w nie dostrzeżonym węzélku, „schowała” się - jak dziecko podczas zabawy - inspiracja. „Dziecko jest delikatne i kruche, jesteśmy więc mu winni wszelkie nasze doświadczenie, naszą mądrość i wiedzę, jest bowiem człowiekiem 'niegotowym'”.²⁴ A ponieważ jest ono 'niegotowe', pełne jest także możliwości, które niczym zwalone przez rzekę *zapomnienia* drzewo, łączyć mogą symbolicznie świat Natury ze światem dorosłego, przynależnego kulturze cogito. Podobnie jak świat mitu i snu łączyć się może ze światem codzienności.

Przeglądanie się dziecięcym wspomnieniom, aby odczytać obraz rzeczywistości, w której dorastałem, jest też próbą powrotu do jego „kształtów” i zadziwień. Jak każda wyprawa do „tam”, i na powrót „tutaj”, jest powtórzeniem, quasi rytuałem. Jest cykliczną podróżą, by wykraść „innemu” mnie jakiś zapomniany skarb. To dziecko pragnie istnieć. I trzeba to istnienie uznać za zadane, bowiem jak zauważył G. Mendel „... pozostanie dzieckiem przy jednoczesnym wkroczeniu w świat dorosłych umożliwiłoby jednostce pełniejszą realizację swego człowieczeństwa, natomiast nasza pozycja społeczna w danej zbiorowości oraz przynależność do określonej klasy społecznej zależałyby od wieku biologicznego”.²⁵

Przyjęcie fenomenologicznej metody opisu i hermeneutycznej aplikacji sensów „odsączonych” z surowej „materii” dziecięcych obrazów. Ten proklamowany wcześniej zabieg rozumowego utworzenia z owych sensów dyskursu, jest również swego rodzaju „dzieciobójstwem” racjonalnym niweczeniem „czegoś”, co i tak „odrośnię” niczym głowa onirycznego potwora. Czy ludzka pamięć i podświadomość nie przypomina labiryntu?

Dzieciństwo to różnica między Naturą, a tym, co ludzkie i kulturowo dojrzałe, ale z drugiej strony to także równoczesna przynależność do tych światów (w świecie Natury dziecko nie jest gościem i *ono złe* nie ma do niego dostępu). Dzieciństwo nigdy nie da się zdefiniować. Wyprawa do jego „mroków” jest z góry skazana na nie kończącą się opowieść, której obrazy bardziej organizuje praca wyobraźni, niż pamięć faktu.

Ludzka istota, która „powraca” do krainy własnego dzieciństwa (dotyczy to każdego sposobu docierania do własnej przeszłości) ma podwójne oblicze. Jego istotę doskonale wyraża J. Cortázar:

²³ K. Grzywnowicz, *Grzyby i ludzie. Czyli od etnomykologii do mykotechnologii*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2002, s. 56.

²⁴ E. Nowina - Sroczyńska, *Przezroczyste ramiona ojca*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1997, s. 3.

²⁵ G. Mendel, *W imię dekolonizacji dziecka*, [w:] *Dzieci*, wybór, opracowanie i redakcja M. Janion i S. Chwin, Gdańsk 1998, t. 1, s. 154.

[...] w miarę upływającego czasu będę czuł coraz mniej, wspominał coraz mniej, ale czymże jest wspomnienie, jeśli nie językiem uczuć, słownikiem twarzy i dni, i zapachów, które powtarzają się jak czasowniki i przymiotniki w przemówieniu, ukradkiem przemykając się poza samą rzecz, aż do czystej teraźniejszości, zasmucając nas lub moralizatorsko pouczając, do chwili kiedy sami stajemy się moralistami, twarz zwrócona wstecz otwiera szeroko oczy, zaś ta prawdziwa zaciera się powoli, tak jak na starych fotografiach, i nagle Janusem jest już każdy z nas.²⁶

Patrząc podwójnym obliczem w przeszłość odnajduję w Krainie Trzech Młynów „*okolice uprzywilejowane, jakościowo różne od innych, - mój - pejzaż ojczysty, - bowiem w „rozbitym świecie” pewne - miejsca zachowują nawet dla człowieka najgłębiej niereligijnego wartość wyjątkową, <<jedyną w swoim rodzaju>> są to miejsca święte [...] prywatnego świata.*”²⁷

Nawet jeśli jest on utkany ze złudzeń, z tego, co nigdy nie odrodzi się w swym pierwotnym kształcie, bez owego świata egzystencja wydaje się chwiejna i jałowa. Choć rzeka zmienia swe brzegi i jak powiada Heraklit, dwa razy do niej wejść nie można, płynie ona przez miejsca, w których tkwi jeszcze jakiś rodzaj ulotnej tożsamości.

W wierszu *Moje strony* Friedrich Hölderlin stara się ukazać istotę powrotów do miejsc dzieciństwa. Ich podobieństwo do moich „miejsc” sprawia, że odnajduję w odczuciach wielkiego niemieckiego poety bliskie mi doświadczenia i wspólny sens:

*Z dalekich łądów, z obfitą zdobyczą
Powraca żeglarz na spokojne wody
I ja bym chętnie wrócił w moje strony.
Lecz moja zdobycz to tylko cierpienie.-
Przyjazne brzegi, na których wzrastałem
Czy uśmierzycie miłosną udrękę?
I czy odzyskam niegdysiejszy spokój,
Gdy się zapuszczę w las mego dzieciństwa?*²⁸

²⁶ J. Cortazar, *Gra w klasy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków - Wrocław 1985, s. 90.

²⁷ M. Eliade, *Sacrum mit historia*, Wydawnictwo KR, Warszawa 1993, s. 56.

²⁸ F. Holderlin, *Co się ostaje ustanawiają poeci*, wiersze w przekładzie Z. Libery, Wydawnictwo Znak, Kraków 2003, s. 45.